



POWSTANIE WARSZAWSKIE

50 LAT TEMU:

2 października podpisano układ kapitulacyjny
4 października ukazał się ostatni numer *Biuletynu Informacyjnego*
5 października Komendant Główny Armii Krajowej
gen. Tadeusz Bór-Komorowski poszedł do niewoli

Ze wspomnień powstańczego lekarza (I)

Wybuch powstania zastał mnie na ulicy Smolnej w Instytucie Oftalmologicznym, gdzie pracowałem jako wolontariusz. Trzeciego sierpnia Niemcy, którzy zajmowali gmach Muzeum Narodowego naprzeciwko Instytutu, w odległości zaledwie około 100 metrów, nakazali mieszkańcom ulicy Smolnej, a także wszystkim osobom znajdującym się na terenie Instytutu, zgromadzić się w Muzeum. Od razu zrozumiałem, że oznacza to pewną śmierć - przecież w Muzeum nie ma żywności dla wykarmienia takiej masy ludzi, niemożliwe jest także ich wyprowadzenie z ogarniętego walkami miasta.

Postanowiłem, bez względu na to, jaką decyzję podejmie dyrektor Instytutu prof. Melanowski, do Muzeum nie wchodzić i przeskoczyłem przez mur odgradzający Instytut od ogrodów znajdujących się na tyłach ulicy Foksal. Po kilku minutach usłyszałem po

drugiej stronie muru głos kierowniczkę kancelarii Instytutu, p. Siedzieniewskiej, tłumaczącej profesorowi, że wszystkim grozi rozstrzelanie. Jej perswazjom należy prawdopodobnie zawdzięczać, że wkrótce, przy pomocy jakiegoś znalezionej łomu, wybito w murze otwór, przez który wszyscy chorzy i personel przeszli do ogrodu, a stamtąd do Zakładu św. Kazimierza, siedziby siostr szarytek na Tamce. Noc spędziliśmy w sklepionej, klasztornej piwnicy, do której trzeba było zejść po bardzo stromych schodach. Siostry przyprowadziły tam swego kapelana, który udzielił nam rozgrzeszenia *in articulo mortis*. Przez całą noc oczekiwaliśmy nadejścia Niemców, którzy podpaliłi w międzyczasie wszystkie domy na Smolnej, łącznie z Instytutem. Ku naszej wielkiej radości, po makabrycznej nocy nastąpił piękny, słoneczny dzień. Ani śladu Niemców, nie słychać żadnych

strzałów, ustał nawet huk armat zza Wisły. Spokój taki trwał kilka dni.

W drugim tygodniu sierpnia sanitariat powstańczy przydzielił mnie do organizowanej filii Szpitala Czerwonego Krzyża. Szpital ten odegrał na Powiślu w czasie powstania doniosłą rolę. Posiadał pełną obsadę lekarską, czynny prawie przez cały czas rentgen, ogromne zapasy środków opatrunkowych, gipsu i leków. W czasie powstania utworzono dwie jego filie: przy ul. Foksal, w pałacyku, przed którym dokonano zamachu na min. Pierackiego i przy ul. Kopernika. Zostałem przydzielony do tej drugiej.

Kierownictwo lekarskie szpitala spoczywało w rękach dr. Cetkowskiego, ortopedy z Gdyni, który okazał się naszym mężem opatrnościowym. W czasie I wojny światowej był oficerem w armii pruskiej i posiadał nawet odznaczenia wojskowe. Mówił po niemiecku jak rodowity Niemiec. W pierwszym dniu powstania i potem, gdy Niemcy zajęli Powiśle, uratował szpital od niechybnej zagłady. Jestem pewny, że Niemcy, którzy mieli swoje stanowiska na mostach w bezpośredniej bliskości szpitala, tolerowali egzystencję tej placówki tylko dzięki niemu.

Na ul. Kopernika zajęliśmy wielopiętrową, masywną kamienicę, którą okupanci oddali do dyspozycji mieszkającym w Warszawie Ukraińcom. Było tam dużo miejsca, a ku naszej radości, na parterze odkryliśmy, dobrze zaopatrzone ukraiński sklep spółdzielczy. Ze ścian patrzyły na nas portrety atamanów zaporoskich. Znajdowało się tam też mnóstwo banknotów ukraińskich, drukowanych w Kijowie jeszcze w 1918 r. Salkę operacyjną urządziliśmy w podziemiach sąsiedniego domu. ►

Z ukosa

Chyba się starzeję

nością w Akademii mam jeszcze jedno zobowiązanie do wypełnienia. Otóż obiecałem kiedyś napisać do *Gazety AMG* analizę programu nauczania w ciągu całych studiów. Może lepiej się stało, że robię to dopiero teraz - z perspektywy VI roku lepiej widać lata poprzednie.

Zacznę *ao ovo*, czyli od egzaminu wstępnego. Pisałem o tym już wcześniej, że testy są w tym przypadku (mniejszym) złem koniecznym. Teraz dodam tylko tyle, że moim zdaniem trzeba by zmodyfikować

pytania tak, aby pewne „fory” dać panom (bo ja wiem, może więcej pytań, zadań z fizyki i chemii?).

Nie piszę tak dlatego, że jestem wojującym antyfeministą, ale niech mi ktoś udowodni, że feminizacja (np. w takiej postaci, jaką mamy w oświacie) wyjdzie medycynie na dobre. Wszak „równowaga w przyrodzie musi być”, *ne c'est pas?*

Za miesiąc - pierwszy rok pod lupą.

Kamil Jankowski

Właśnie tutaj i w znajdującej się powyżej kondygnacji mieściła się dawniej wytwórnia kosmetyków Dol-Rey. W jednym z pomieszczeń podziemia, obok sali operacyjnej, urządzono powstańczą wytwórnię prochu, w której pracował wraz z żoną prof. Ernest Sym, rodzony brat Igo Szyma, aktora, zastrzelonego w czasie okupacji przez polski ruch oporu. Proch fabrykowany był w sposób przypominający pierwotną technologię z okresu jego wynalezienia. Węgiel drzewny, siarkę i saletrę wsypany w odpowiednich proporcjach do zrobionego, zdaje się z tektury, bębna obracanego przy pomocy korby.

Pani Symowa zginęła w czasie powstania w nieznanym mi bliżej okolicznościach, a prof. Sym po zakończeniu wojny pracował w Instytucie Medycyny Morskiej w Gdańsku i powtórnie się ożenił. Zginął w katastrofie samochodowej w 1950 r.

Jako okulista nie miałem w zakresie swojej specjalności wiele pracy. Prof. Melanowski mawiał, że okulista wojskowy wykonuje tylko 2 operacje: enukleację i ewakuację. Ja nie wykonywałem w ogóle żadnych zabiegów. Miałem natomiast możliwość leczenia rzadkiego schorzenia wchodzącego w zakres okulistyki - wszawicy powiek. Dochodzi do niej tylko przy skrajnym braku higieny, co dowodzi naszej całkowitej niemożności przestrzegania choćby tylko podstawowych jej wymogów. Nie mieliśmy dostatecznej ilości mydła, a potem brak było i wody. Wszawicę powiek wywołuje wesz łonowa. W czasie okupacji widywałem sporadyczne przypadki, ale to co miałem możliwość obserwować w czasie powstania - przechodziło wszelkie wyobrażenia - rzęsy były tak gęsto oblepione gnidami, że robiły wrażenie zupełnie siwych. Leczenie wszawicy powiek nie jest proste, nie ma bowiem środka, który zabijałby dorosłe pasożyty, gnidy zaś są tak mocno przyklejone do rzęs, że nie sposób je od włosy oderwać. Obcięcie rzęs też do niczego nie prowadzi, nie można ich bowiem obcinać przy samej skórze. Istnieje tylko jeden sposób leczenia wszawicy - zapoznać mnie z nim przed laty prof. Sobański: dorosłe pasożyty należy oczywiście usunąć, zaś gnidy trzeba starannie rozgnieść przy pomocy mocnej, stalowej epilacyjnej pincetki.

Nie mając dużo pracy starałem się pomagać w operacjach jako narko-

tyzer. Oprócz tego zajmowałem się zwłokami, które znoszono do nas ze wszystkich stron. Były to prawie wyłącznie osoby niezidentyfikowane; sporządzałem więc opis zwłok w specjalnym zeszycie. Do każdego opisu dołączałem kawałek ubrania, by ewentualnie ułatwić kiedyś rodzinie identyfikację. Zwłoki czekały na pogrzeb w osobnym pomieszczeniu naszego podziemia, na końcu którego znajdował się jedyny czynny kran. Kiedy dochodziłem do niego rano, by się umyć, musiałem codziennie przeskakiwać przez licznych zabitych.

W tym czasie żyliśmy jeszcze względnie spokojnie - tylko raz ostrzelano naszą ulicę z moździerza (3 pociski). Odgłosy walk, wybuchy bomb i pocisków artyleryjskich dochodziły do nas z daleka. W drugiej połowie sierpnia doszły do tych znanych odgłosów nowe, będące czymś pośrednim między wyciem zwierząt a szumem i gwizdem. Występowały zawsze w seriach po 3, po czym, po około 6 sekundach, następowało kilkanaście wybuchów zlewających się w jeden grzmot. Były to słynne pociski raketowe zwane „ryczącymi krowami” lub „szałami”. Pierwsze określenie funkcjonowało wśród obrońców Śródmieścia, natomiast obrońcy Starego Miasta porównywali te dziwne odgłosy do zgrzytów wydawanych przez przesuwaną po podłodze szafę. Ponieważ pociski odpalane były z pięciolufowych wyrzutni, za każdym razem eksplodowało ich zatem 15. Była to straszliwa broń, z którą musieliśmy się bliżej zapoznać, gdy na Powiślu rozpętało się, na szczęście niezbyt długo trwające, piekło. Po upadku Starówki ruszyło niemieckie natarcie na tę część miasta. Zaczęło się od bombardowań lotniczych i nasza ulica, robiąca do tej pory pokojowe wrażenie, zaczęła się pokrywać gruzami i rozbitym szkłem. Elektrownia przestała nam dostarczać prąd i trzeba było robić operacje przy świecach. Na moje prośby, by odsunąć te świece, gdyż może nastąpić wybuch eteru, operatorzy z reguły oponowali, bo musieli mieć dobre oświetlenie. Wreszcie któregoś dnia na początku września, trafiła w nasz budynek, akurat w czasie operacji, ciężka bomba lotnicza.

(cdn.)

prof. Jerzy Morawiecki

Historia Polski jest tak bogata w wydarzenia, że każde pokolenie Polaków ma „szczęście” osobiście przeżyć jakiś znaczący fragment wlotów, lub bardziej zapadających w pamięć, upadków.

Od powstania warszawskiego minęło już pół wieku, lecz na tych którzy przeżyli, wywarło ono niezatarte, żywe do dziś piętno. I dziwne, że pamięć nasza, często wybiórczo, utrwala pewne fakty - np. piękne zjawiska przyrody kojarzy z okropnościami wojny.

Dla mnie zaczęło się wszystko tak pogodnie, jak pogodnie było lato 1944 r. Przyjechałam z Wileńszczyzny do Warszawy dwa miesiące przed wybuchem powstania. Pierwszy raz w życiu uczęszczałam do szkoły, w której dzieci śmiały się słysząc mój silny kresowy akcent. Byłam jednak twarzą, zahartowana w partyzantce, gdzie w wieku 6 lat nauczyłam się strzelać z pistoletu i jeździć konno - ten bardzo barwny okres to temat do innych wspomnień.

A więc wtedy, w Warszawie, po krótkim pobycie w szkole, zdałam aż do IV klasy i byłam, słusznie zresztą, niestęchanie dumna i szczęśliwa. Dostałam za to od dziadka prawdziwy zegarek. Tych chwil szczęścia i radosnych dla dziecka dni było więcej, a tylko Mama odbierała je inaczej. Pamiętam np. jak rozplakała się na mój widok, gdy wbiłam zęby w skórę nieobranej pomarańczy, bo jadłam ją po raz pierwszy, lub moje przerażenie, że coś zepsułam, gdy kazano mi pociągnąć w wc za łańcuszek i usłyszałam huk spuszczonej wody. Byłam dzikim dzieckiem z wileńskich lasów, znałam tylko stawówki, puszcę i łuczyno - romantyczne, kłopotliwe, niebezpieczne.

W Warszawie miałam pierwszą koleżankę, która uczyła mnie dziewczęcych zabaw lalkami. Dotychczas znałam tylko konie, broń i ucieczki w lasach przed różnej narodowości bandami i... wilkami. Dziewczynka ta, o imieniu Lala, była starsza ode mnie o 3-4 lata i bardzo się bała wojny. Gdy zapędzono nas w pierwszych dniach powstania do piwnicy-schronu Ubezpieczalni Społecznej na rogu ul. Wolskiej i Działdowskiej, siedząc na ziemi całymi godzinami odmawiała na przemian Ojciec nasz i Zdrowaś Mario. Ja w tym czasie nosiłam butelki z benzyną, ukryte przed powstaniem w ogromnej kopie piasku na



W pięćdziesiątą rocznicę powstania warszawskiego

Ze wspomnień powstańczego lekarza (II)

Połowa budynku, w którym znajdowała się nasza salka operacyjna, legła w gruzach i, jakkolwiek podziemie ocalało, szpitalik nasz przestał istnieć. Lekarze rozbiegli się, zaś lżej rannych rodziny zabrały do domów. Pozostały tylko pielęgniarki i kilku ciężiej rannych, z którymi gnieździłem się w podziemiu.

Szóstego września, po ostrzeleniu okolic ul. Kopernika pociskami zapalającymi, zobaczyłem, że gruzy, jakie pozostały z połowy naszego budynku, zaczęły się tu i ówdzie tlić. W obawie, że może powstać większy pożar, postanowiłem wraz z pielęgniarką p. Jadwigą Piotrowską, późniejszą przełożoną pielęgniarek w Klinice Ocznej AMG, przenieść po kolei naszych rannych do filii Szpitala Czerwonego Krzyża przy ul. Foksa!

Gdy niosąc na noszach pierwszego rannego, wyszliśmy z podziemia, zorientowałem się, że cała nasza dzielnica znajduje się w ogniu walk, zaś dochodząc do ul. Foksa zobaczyliśmy idących gęsiego powstańców, którzy wycofywali się do Śródmieścia. Idąc dalej mijaliśmy barak służący władzom powstańczym za areszt. W tym miejscu omal nie potknąłem się o zwłoki młodej kobiety. Okazało się, że przed klikunastu minutami powstańcy wyprowadzili z baraku wszystkich przetrzymywanych tam więźniów i rozstrzelali. Byli to najpewniej konfidenty i kolaboranci. Kobieta leżąca na jezdni niewątpliwie usiłowała ratować się ucieczką.

W szpitalu, który mieścił się na samym końcu ulicy, panowała panika. Niektórzy lekarze pakowali walizki i chcieli uciekać do śródmieścia. Uważali oni, że za chwilę przyjdą Niemcy i zobaczywszy w najbliższym sąsiedztwie rozstrzelanych, zrobią z zemsty to samo z mieszkańcami okolicznych domów, łącznie ze szpitalem. Spory na temat, co należy robić nie trwały jednak długo, bo wkrótce ustyszeliśmy gdzieś w pobliżu złowieszcze, przenikające do szpiku kości, przeciągłe trzykrotne wycie i po kilku sekundach rozległ się grzmot eksplo-

dujących pocisków. Instynktownie padliśmy na ziemię i po chwili wybiegliśmy na tyły gmachu. Już palił się dach.

Pożar rozprzestrzenił się błyskawicznie. Chodzący ranni tłocząc się na schodach zaczęli opuszczać płonący budynek. Niestety, ci którzy nie mogli chodzić o własnych siłach, zostali i wkrótce rozległy się rozdzierające krzyki palących się żywcem ludzi.

Nagle zobaczyłem w oknie drugiego piętra wychylającego się mężczyznę, wołającego rozpaczliwym głosem o pomoc. Przyniesiono skądś drabinę, na którą nawet próbowałem wejść, ale była za krótka. Po chwili nieszczęśliwy człowiek w ostatecznej rozpaczce wyskoczył z okna na ziemię. Okazało się, że nawet drabina odpowiedniej długości nie mogła go uratować, bowiem jedną nogę miał amputowaną.

Ranni wciąż schodzili po schodach. Układaliśmy ich na ziemi, ja zaś rozejrzawszy się zobaczyłem, że wszystko dokoła, co tylko mogło się zapalić, płonie. Paliły się ploty, a nawet zielone drzewa, przy czym małych ognisk były setki. Pociski, którymi nas ostrzelano wyrzucały widocznie w czasie eksplozji zapalający materiał w postaci małych grudek, które mocno przyklejały się do twardego podłoża, wskutek zetknięcia się z powietrzem zaczynały się uporczywie tlić.

Chaos powiększał się z każdą chwilą. Ranni, którzy mogli się poruszać, zaczęli się rozchodzić po sąsiednich ogrodach mieszając się z mieszkańcami okolicznych domów, zaś wśród drzew można było zobaczyć przemykających opóźnionych powstańców. Wraz z zapadającym zmrokiem wszystko zaczęło się uspokajać, ucichły strzały i krzyki i ludzie leżąc na ziemi usiłowali drzeć.

Gdy nastąpiła ciemna noc, podeszła do mnie nieznaną mi pielęgniarka prosząc, bym poszedł z nią na ulicę Foksa i pomógł przynieść rannego, który leży w jednej z piwnic. Poszedłem z nią i ujrzałem obraz, który mo-

żna chyba zobaczyć tylko na filmie. Wszystkie bez wyjątku domy na ul. Foksa płonęły i po obu stronach stanowiący, bez żadnej przerwy, dwie ściany ognia. Wśród cisy słychać było tylko syk płomieni.

Wyznaję szczerze, że ogarnął mnie lęk, który wydawał mi się nie do przeczwyciężenia. Na ulicy, na której oprócz nas nie było żywego ducha, oświetlonej jak w dzień, stanowiliśmy doskonały cel dla Niemców, którzy, jak przypuszczałem, znajdowali się już na ul. Kopernika. Jednak wstyd wobec młodej i odważnej dziewczyny spowodował, że opanowałem się, rannego odnaleźliśmy dotychczas go do naszych rannych.

Resztę nocy spędziliśmy w pobliskich ruinach Instytutu Oftalmicznego. Niemcy przyszli o świcie i po kilku godzinach kazali przenieść się wraz z rannymi na teren Szpitala Czerwonego Krzyża przy ul. Solec. Tam rozlokowaliśmy się na gołej ziemi.

Przez nasze obozowisko przechodziły ustawicznie oddziały niemieckie idące do natarcia na Śródmieście. Wielu żołnierzy odpoczywało i wałęsało się po całym terenie. Byli to przeważnie żołnierze sowieccy, którzy przeszli na stronę niemiecką i nosili niemieckie mundury. Warszawiacy nazywali ich, zresztą niestusznie, „własowcami”, „mongolami” albo „katmukami”. Robili wrażenie ludzi półdzikich i zachowywali się w stosunku do nas agresywnie. Szczególnie na niebezpieczeństwo narażone były liczne młode dziewczęta, uczennice szkoły pielęgniarek przy Szpitalu Czerwonego Krzyża. Na szczęście, głównie dzięki interwencjom b. majora wojsk pruskich, dr. Cetkowskiego, nie słyszałem, by dokonano choć jednego gwałtu.

Przez następny dzień karetki sanitarne odwoziły chorych i rannych do Szpitala Wolskiego na ul. Płocką. Pozostała część miano wywieźć nazytuz. Przygotowując ewakuację dr Cetkowski doszedł do wniosku, że wszystkich rannych nie będzie-
 my w stanie wywieźć i że trze-

► ba ich liczbę zmniejszyć. Wśród naszych rannych były dwie osoby w stanie agonalnym: mężczyzna i kobieta. Nie mając innego wyjścia wstrzyknęliśmy im dożylnie duże dawki morfiny i można ich było nazajutrz pochować.

To zadanie powierzył mi dr Cetkowski; dostałem topatę i wykopałem dwa płytkie groby. Na polecenie doktora musiałem jeszcze na grobach umieścić nazwiska pogrzebanych, co według niego było niezbędnie potrzebne. Ponieważ nazwisk nie znałem, napisałem na kawałkach dykty chemicznym ołówkiem fikcyjne imiona i nazwiska. Drugą noc spędziliśmy w piwnicy jednego z pawilonów szpitala. Nie mieliśmy jednak spokoju. Przez cały czas nachodzili nas często pijani żołnierze, którzy domagali się, by dr Cetkowski nakazał którejs z pielęgniarek pójść z nimi, bo rzekomo znaleźli na ulicy rannego potrzebującego natychmiastowej pomocy.

Ale stało się coś zupełnie nieoczekiwane. Pojawił się mianowicie jakiś podoficer niemiecki, który siedział z nami do rana i po prostu wyrzucał żołdaków za drzwi. Przez całą noc rozmawiał on z doktorem, była to zaś rozmowa tak osobliwa, że nadawałaby się na radiowe słuchowisko. Podoficer tłumaczył, że Niemcy już wojnę przegrali, że będzie niedługo jej koniec i że on, podoficer, o ile dożyje, dostanie się do niewoli i bardzo prosi doktora o

pomoc w wydostaniu się na wolność. Prosił on także o podanie adresu, pod który mógłby się zwrócić, na co doktor ze zdumiewającą pewnością siebie podał mu swój adres w Gdyni. Z dr. Cetkowskim nie spotkałem się po wojnie i nie wiem, czy ta nocna rozmowa miała jakiś epilog.

Dziewiątego września wywieziono mnie z pozostałymi rannymi do Szpitala Wolskiego. Tragiczne losy tego szpitala są powszechnie znane. Piątego sierpnia stracił on prawie cały personel i wszystkich chorych. W czasie mojej tam bytności był to normalnie funkcjonujący szpital z zespołem czołowych chirurgów, szpital, w którym można było zobaczyć nawet kwiaty w wazonach. Tam i w pobliskim Szpitalu św. Stanisława wykonywałem zabiegi okulistyczne.

Pod koniec września, gdy Szpital Wolski przestał istnieć, znalazłem się wraz z lekarzami Czerwonego Krzyża w Milanówku, skąd po kilku tygodniach wyjechałem do Radomia. Bezpośrednio po wejściu tam Rosjan wspólnie z dr. Telatyckim, późniejszym profesorem AMG, wyruszyliśmy piechotą za Wisłę do Puław. W końcu stycznia znalazłem się z powrotem w Warszawie.

Tak zakończył się jeden z najbardziej burzliwych okresów mojego życia.

prof. dr hab. Jerzy Morawiecki



Mija 90 lat od urodzin prof. dr hab. Zdzisława Kieturakisa, zmarłego 23 lata temu - 7 listopada 1971 roku, wychowawcy i nauczyciela wielu z nas, w imieniu których mam zaszczyt pisać to wspomnienie.

Prof. Zdzisław Kieturakis urodził się 25 listopada 1904 roku w Mstowie k. Częstochowy. Edukację rozpoczął w 1911 r. w Zagórzu k. Kłobucka, kontynuował ją w Kursku, Rylsku i Kownie. W marcu 1922 r. rozpoczął naukę w Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Świadectwo dojrzałości uzyskał 21.05.1926 r., następnie podjął studia na Wydziale Lekarskim



Dnia 8 października 1994 roku zmarł w Vancouver (Kanada) doktor medycyny, specjalista chirurg, docent AMG, Wiktor Taubenfligel.

Zmarł Wiktor Taubenfligel

Urodził się 13 grudnia 1909 roku w Łodzi. Studia medyczne rozpoczął na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Karola w Pradze, w roku 1930. Następnie studiował w Uniwersytecie w Padwie, gdzie w roku 1937 uzyskał tytuł doktora medycyny na podstawie pracy „Diatesi emorragica”. Uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, w czasie II wojny światowej służył w jednostkach sanitarnych wojsk alianckich na Dalekim Wschodzie - m.in. w Birmie. W 1945 r. podjął pracę na stanowisku młodszego asystenta w Klinice Chirurgii Akademii Lekarskiej w Gdansk, kierowanej przez prof. Kornela Michejdę. Po utworzeniu III Katedry i Kliniki Chirurgii pracuje pod kierunkiem prof. Z. Kieturakisa. W latach 1953-1955 więziony Mokotowa, w roku 1955 mianowany adiunktem, rok później otrzymał tytuł docenta.

Był autorem szeregu publikacji klinicznych, interesował się problemami jamy brzusznej, a także zagadnieniami chirurgii plastycznej i doświadczalnej. W roku 1964 został kuratorem I Katedry i Kliniki Chirurgii AMG, a w czerwcu 1967 r. jej kierownikiem. W 1968 r. zmuszony do wyjazdu, wyemigrował do Kanady, gdzie jako lekarz, przez wiele lat był czynny zawodowo.

Doc. Wiktor Taubenfligel do ostatnich chwil swego życia interesował się sprawami naszej Uczelni, utrzymując ściśle z nami kontakty. Pozostawił dwoje dzieci - Ewę i Jurka.

Pozostanie w naszej pamięci, jako serdeczny Kolega. Człowiek pełen radości, humoru, tworzący atmosferę zyczliwości wokół siebie.

Kierownik i Zespół
II Katedry i Kliniki Chirurgii AMG